

OSTATNI ROK ŻYCIA ZIEMSKIEGO, ŚMIERĆ I POGRZEB ŚW. BRATA ALBERTA – ADAMA CHMIELEWSKIEGO

Rok 1916 był ostatnim w życiu ziemskim Brata Alberta. Na wiosnę tegoż roku pojechał jeszcze do Lwowa i tam nastąpiło wielkie pogorszenie zdrowia, a dr. Zakreis znalazł taki zły stan dostojnego pacjenta, iż wprost oświadczył jego otoczeniu, że nie dożyje przyszłego roku. Przeczuwał zresztą to samo Brat Albert, bo spoglądając z pagórka na miasto, rzekł do Braci: „Po raz ostatni patrzę na Lwów, już go nie zobaczę”. I tak się stało. Latem 1916 roku przebywał Brat Albert dłuższy czas w pustelni swej w Zakopanem, skąd jednak wyjeżdżał w sprawach swych Zgromadzeń de Tarnowa czy do Krakowa; stan zaś jego zdrowia, to się pogarszało, to znowu polepszało.

Od połowy września bawił Brat Albert w Krakowie i było widocznym, że coraz bardziej ze sił opadał, a niszcząca choroba nurtowała jego słaby organizm.

Stanisławowa Chmielowska, bratowa Sługi Bożego umyślnie przyjechała do Krakowa, aby go jeszcze raz przed śmiercią zobaczyć. Odwiedzali też Brata Alberta różni duchowni i świeccy dostojnicy. Wtem oświadcza Brat Albert z końcem listopada, że musi jeszcze raz pojechać do Zakopanego, by zapłacić ostatnią dłużną ratę pieniężną hr. Władysławowi Zamoyowskiemu za drzewo pobrane niegdyś na budowę domów w pustelni zakopiańskiej. Wziął od Starszej Zgromadzenia Sióstr Albertynek 3000 koron i mimo próśb i sprzeciwów (29.11) pojechał do Zakopanego w towarzystwie przełożonej Siostry Ludwiny Kriż i jej towarzyszk. Tutaj Brat Albert osobiście był w Kuźnicach i wyrównał wszelkie rachunki. Pożegnał się też z O. Jezuitami w Zakopanem, zwłaszcza z O. Adamskim prowadził ożywioną rozmowę. Choroba tymczasem tak się wzmagala, iż pomoc lekarska była prawie bezskuteczna. Mimo opieki, jaką duchowne dzieci otaczały swego czcigodnego Ojca, postanowił Brat Albert prawie nadludzkim wysiłkiem wyjechać ze Zakopanego, bo, jak mówił — „nie chcę wam sprawiać kłopotu mą chorobą i śmiercią; pojedę do Krakowa i tam umrę”. Niegdyś św. Franciszek przed śmiercią rzewnie i niezwykle żegnał się z górą Alvernią, z kościółkiem i całą okolicą śliczną z jej górami, dolinami i rzeczkami, nawet z kamieniem, na którym się modlił i czyniąc znak krzyża św. wołał: „Żegnajcie, już was nie ujrzę!” Podobnie żegnał się Brat Albert z miłą swą pustelnią na Kalatówkach w Zakopanem, z ukochaną kaplicą, z domkami i swą cichą chatką i celką, gdzie tyle błogich chwil spędził na rozmowie z Bogiem i tyle niebieskich łask i pociech doznał. Patrząc Czcigodny Sługa Boży na góry tatrzańskie i na to wszystko, co mu było tak drogie i czyniąc znak Krzyża św. nad płaczącymi Siostrami, rzekł: „Zostańcie z Bogiem, po raz ostatni na ziemi się widzimy”. Ostatkiem sił, prawie mdlejąc wyjechał Brat Albert w towarzystwie Br. Serafina 20 grudnia do Krakowa, gdzie tramwaj zawiózł go do mostu podgórskiego, skąd wspierając się na swym towarzyszu ledwie dowlóknął się umierający starzec do domu i położył się zaraz na swój ubogi tapczan, z którego już nie powstał.

Serdecznie, jak nigdy, żegnał się ze wszystkimi swoimi i znajomymi; choroba się wzmagala. — Cierpiał bardzo — kres życia jego się zbliżał.

W jednej z tych chwil zdjął Brat Albert ze ściany nie duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i podając go Bratu Piotrowi rzeki: „Ta Matka Boska jest waszą Fundatorką, pamiętajcie o tem”.

Gorąco pragnął się widzieć ze Siostrą Bernardyną, Starszą Zgromadzenia, która z powodu choroby, nie mogła zaraz przyjść do niego i dopiero pod wieczór (23.12) w sobotę wigilijną odwiedziła swego Czcigodnego Ojca, który się jej przybyciem bardzo ucieszył i mile o sprawach

Zgromadzenia z nią rozmawiał. W toku rozmowy Brat Albert nagle jęknął i chwytając się za bok powiedział. „O, jak mnie boli, jak nigdy nie doświadczyłem”.

Zapewne nastąpiło w tej chwili pęknięcie wewnętrzznego wrzodu i rozkład raka. Śmiertelna bladeść okryła oblicze Brata Alberta i dostojny chory z nadmiaru boleści zemdlął,

zdawało się, że życie kończy. Przywołano księdza i lekarza. Chory tymczasem przyszedł nieco do siebie, przyjął z rąk O. Górnego, przeora od Bożego Ciała ostatnie olejem św. namaszczenie. Dr. Wysocki, który leczył Brata Alberta, kazał go przenieść do większej sąsiedniej izby, przyrządzić łóżko wygodniejsze i poduszki, na które nieprzytomnego chorego ułożono. Chociaż Brat Albert tyle razy w życiu, śmierci się niejako wymykał i obecnie do czasu to się powtórzyło, to tym razem dni i godziny jego były policzone. Czcigodny chory z powodu bóleści i osłabienia zwykle był nieprzytomny, ale miał dłuższe i krótsze chwile rozeznania, w których objawiał zwykłą swą swobodę ducha, dziecięcą uległość wobec Bogi i tkliwą dobroć dla swoich i bliźnich.

Nazajutrz była niedziela przed Bożem Narodzeniem (24 grudnia). Przed południem odbyła się jeszcze narada lekarzy nad stanem chorego, która tylko stwierdziła całkowitą ludzką niemoc, co do środków ratunku czcigodnego Pacjenta. — Wobec tego postanowiono dać Bratu Albertowi wraz z ostatnimi pociechami religijnymi wiatyk św. na drogę wieczności, tem zaś skwapliwiej chciano to uczynić, że i stany przytomności u chorego częściej się powtarzały i dłużej trwały.

W tych chwilach jedna miła i rzewna scena się rozegrała. Gdy Sługa Boży zauważył, że leży na łóżku i pierzastej poduszce, z powodu czego tak się czuł nieszczęśliwym, że jak dziecko prosił i błagał, by mu podali jego twardy tapczan i twardą, jak kamień poduszkę z sieczki. Na skutek tych prośb przynieśli Bracia ubogie łoże Brata Alberta, ale że się rozsypanywało i nogi były nadłamane, więc ustawili ów nędzny tapczan na pudłach żeby się nie rozleciał, położyli twardą poduszkę i na tem nędznem posłaniu ułożyli swojego Czcigodnego Założyciela, który teraz czuł się nad wyraz szczęśliwym i serdecznie dziękując, dodawał: „O, teraz mi dobrze!”

Po południu tegoż dnia zebrali się liczni członkowie obydwóch Zgromadzeń Brata Alberta i obtoczyli jego łoże bóleści, aby być świadkami ostatnich chwil życia Swego Ojca i z Nim się pożegnać. Przyszedł też Ks. Lewandowski ze Zgromadzania Księży Misjonarzy, przed którym Brat Albert się wyświadał, a niedługo potem przyniósł mu O. Górny, przeor Księży Lateraneńskich wiatyk św., którym posilony Sługa Boży i ubogacony odpustem w godzinę śmierci, dziwnie się na duszy i na ciele pokrzepił i długi odtąd czas w zupełnej przytomności pozostał. Kiedy ks. Lewandowski podał Bratu Albertowi Krzyż do ucałowania i przypomniał mu, aby swe cierpienia połączył z cierpieniami P. Jezusa Ukrzyżowanego, Czcigodny Chory tak budująco i heroicznie do tego się stosował, gdy był przytomny, iż mimo strasznych ataków bóleści, cicho to znosił i ani jęknął, owszem z pogodnym obliczem ochotnie to wszystko cierpiał z miłości dla tegoż Zbawiciela, którego nade wszystko zawsze miłował. To heroiczne usposobienie Brata Alberta zebrani tamże Bracia i Siostry dobrze zauważyli. Wtedy to nastąpiła przepiękna chwila, która niezatarte wrażenie zrobiła na obecnych — a i w tem podobny był Brat Albert, do św. Franciszka.

Czcigodny Sługa Boży, pokrzepiony „chlebem mocnych”, usiadł na swym tapczanie i z pogodnym obliczem i miłością patrzył na otaczające go dzieci duchowne, które wyrażały Swemu Ojcu swe uczucia, prosiły go pojedynczo to o modlitwę, to znowu o błogosławieństwo i inne usługi duchowne, a on mile spełniał ich życzenia i dawał ostatnie nauki. Wtedy Ks. Lewandowski poprosił Brata Alberta, aby już nie pojedynczo, ale wszystkim tu Braciom i Siostram pobłogosławił na drogę ich życia. Wówczas Sługa Boży dziwnie się skupił w sobie, z głębokiem przejęciem i namaszczeniem zakreślił nad klęczącymi i płaczącymi swemi dziećmi wielki krzyż i rzekł: „chętnie wam błogosławię!”

„Niech Brat Starszy pobłogosławi nieobecnych Braci i Sióstr”.

„Także im błogosławię ze serca”.

I tych wszystkich Braci i Sióstr, którzy w przyszłości będą w Zgromadzeniach Twoich!”

„Błogosławię im!”

„Niech Brat Starszy błogosławi jeszcze ubogich i sieroty, znajdujących się w przytuliskach i domach obydwóch Zgromadzeń!”

Widać było niezwykle rozrzewnienie w obliczu Brata Alberta, który i tym razem czyniąc znak Krzyża św., zawołał ze serca: „Błogosławię im!”

Scena ta zrobiła wielkie wrażenie na obecnych, rozległ się płacz i szlochanie.

Wtem zaszło coś nowego! Nagle w oczach Sługi Bożego zabłyśły dziwne jakieś ognie. Umierający Starzec przemienia się jakoby w jakiegoś olbrzyma, a z ust jego, jak grom, zaczęły padać dziwnie mocne słowa, które do głębi duszami obecnych wstrząsnęły:

„Co tu płakać? z wolą Boską macie się zgadzać i za wszystko Bogu dziękować! Tak jest! trzeba Bogu dziękować za chorobę i za śmierć, jak ją zsyła. Zmówić trzeba: „Magnificat”. Co Bóg ześle, trzeba Mu za wszystko dziękować” i dodał Brat Albert te dziwnie, wówczas zwłaszcza, jakoby jakiś zgrzyt czyniące, słowa: „Nawet za tę wojnę trzeba Bogu dziękować i trzeba mówić „Te Deum”. Ja codziennie za tę wojnę „Te Deum” odmawiałem. Bo co Bóg działa, święte jest i dobre”.

Pod wrażeniem tych słów ucichł płacz, a Brat Albert, snadź wyczerpany tym wysiłkiem i nowe mi boleści, stosując się do polecenia lekarzy, użył wtedy tytoniu, by pod dymem tej pospolitości ludzkiej, ukryć zarazem, co heroicznego i nadzwyczajnego w nim zauważono. Pod tym względem był Brat Albert mistrzem, niedoścignionym. Rozmawiał potem jeszcze dobry Ojciec ze swojemi dziećmi z całą swobodą ducha i jakby ich chciał rozweselić, zdołał słowa miłym dowcipem. zachęcając ponownie do ukochania nad wszystko woli Boskiej i by nie zapomnieli Bogu za wszystko dziękować.

Następnie pochwyciły Brata Alberta takie cierpienia, że przeniknięty i otulony niemi, jakoby płaszczem, zamilkł, zawładnęła nim nieprzytomność, przerywana rzadkimi i krótko trwającymi stanami, w których rozeznawał to, na co się od dawna zgodził, t. j. że przez konanie i śmierć spełnia najwyższą i najświętszą wolę Boga, którą uwielbiał i za nią dziękował i ofiarą i zertwą Bożą do ostatniego tchu zostawał. W tym czasie odwiedził Czcigodnego Chorego Księżę Metropolita Sapieha i Najprzew. Ks. Biskup Nowak i inni dostojnicy. Rano w dzień Bożego Narodzenia Brat Albert odzyskawszy przytomność, poprosił o wodę, którą mu Siostra Magdalena, Wikaria Zgromadzenia podała i spytała się, czy jeszcze czego potrzebuje?

„Teraz, już mi nic nie potrzeba” — były ostatnie słowa Brata Alberta.

Stan nieprzytomności i cichego konania trwał do południa, oddech chorego Sługi Bożego stawał się coraz słabszym, chwilami całkiem ustawał, serce czyniło ostatnie wysiłki, życie cicho i spokojnie ulatywało. W chwili, gdy w samo południe zadzwoniono w kościele Bonifratrów na „Anioł Pański”, śmiertelna bladeść okryła oblicze Brata Alberta i Czcigodny Sługa Boży oddał swego ducha Bogu.

Wielki Czcziciel Dzieciątka Bożego poszedł wielbić i miłować, w. wieczności Słowo Przedwieczne, które się stało ciałem, w nagrodę za to, iż za przykładem św. Franciszka, takie miał nabożeństwo do Słowa Wcielonego, że podczas świąt Bożego Narodzenia z wielkiej radości niemal się zapamiętywał. Spełnił też Jezus Ukrzyżowany gorące pragnienie Swego Miłośnika Krzyża, gdyż jak On, długo, ciężko i boleśnie konał; jak On umierał głodem i pragnieniem umęczony, a przytem ubogi, leżał na twardej desce nędznego tapczanu, opierał zboląłą głowę na wypchanej sieczką, twardej poduszce, a chociaż gwałtowne i przenikliwe boleści rzucały na jego ducha dłuższe cienie nieprzytomności, to przecież zaiskrzał się jego pogodny umysł i gorące serce snopem iskier aktów miłości Bożej, dziękczynienia i zdania się we wszystkim na Boga, za każdym razem, ilekroć wracało mu jasne zrozumienie i rozeznanie stanu, w jakim się znajdował.

To też nawet po śmierci Brata Alberta pozostał na jego obliczu dziwny jakiś wyraz niebiańskiej pogody i nadprzyrodzonej słodyczy. Na wieść, o jego śmierci zadrgał nie tylko Kraków, ale całe połacie ziemi Polskiej, a w ślad za tem drgnieniem tych, co go znali, szedł

jakoby cichy a potężny szept ludzki: „Umarł Święty”. Gdzieniedzie wydrukowano, pisząc o Nim nekrologi, „że dzięki Bogu, są jeszcze Święci w Kościele Bożym i na polskiej ziemi”.

Można powiedzieć, że do trumny Brata Alberta pielgrzymował przez swych przedstawicieli cały Kraków. Z bliska i z daleka schodzili się do czcigodnych szczątków Sługi Bożego wielcy tego świata, ludzie z różnych sfer społeczeństwa, ubodzy i sieroty i bez najmniejszej obawy wpatrywali się w jego szlachetne oblicze, nacechowane osobliwym wyrazem dobroci i słodyczy. Wielu z nich, a nawet kapłani, całowało jego ręce, inni rzucali mu się do nóg, lub brali różne przedmioty od niego jako relikwie. W cichym i nieutulonym żalu otaczali ciało swego Ojca i Założyciela członkowie obydwóch Zgromadzeń, których mimo boleści, przenikała dziwna jakaś błogość w duszy, że On żyje w szczęśliwej wieczności i że mają tam nowego orędownika i opiekuna przed Bogiem. To też kolejno trwali przy Jego zwłokach aż do dnia pogrzebu. - Ciało Brata Alberta ułożono czasowo, w pożyczonej od ubogich, małej trumnie, zanim mu zrobiono większą białą trumnę i ustawiono w kaplicy przytuliskowej przy ul. Krakowskiej. Jak wielką istotnie czcią otoczony był świątobliwy Sługa Boży, dowodzi to, że gdy miano zamknąć trumnę, rzucili się do ucałowania Jego rąk nie tylko Bracia i Siostry, ale i kapłani i zakonnicy ręce i nogi jego całowali z wielkim wzruszeniem i czcią jakoby religijną. Inni zaś, nie mając co wziąć na pamiątkę po ubogim zakonniku, zrywali listki zielonej girlandy, która zdobiła drewnianą trumnę.

Obrzędy pogrzebowe rozpoczęły się w czwartek, w dzień Młodzianków (28 grudnia) i trwały kilka godzin; od wczesnego ranka w kaplicy przy trumnie Brata Alberta odprawiały się msze św. O godz. 8 rano nastąpiło wyprowadzenie zwłok z przytuliska do kościoła Bożego Ciała, którego w licznej asystencji duchowieństwa dokonał Ks. Dr J. Siemieński, poczem rozpoczęły się nabożeństwa żałobne ze współudziałem Księcia-Biskupa Sapiehy, Ks. Arcybiskupa Symona i Ks. Biskupa Nowaka, i uczestnictwem członków kapituły katedralnej, oraz licznego kleru świeckiego i zakonnego i szerokich sfer publiczności. W pogrzebie wziął też udział b. minister Morawski, b. wiceprezydent Dembowski, profesorowie uniwersytetu, K. Morawski, Bujak, Brzeziński, prezydent miasta Dr. Leo, radni Krakowa, liczni członkowie obydwóch Zgromadzeń Brata Alberta, ubodzy, sieroty i przeliczne tłumy publiczności.

Orszak pogrzebowy, który prowadził Ks. Biskup Nowak, przy dźwięku dzwonów kościelnych, postępował ulicami Krakowską, Grodzką, Rynkiem Głównym, gdzie przy kościółku św. Wojciecha grupa Legionistów salutowała przed trumną Brata Alberta, żegnając w nim bojownika o wolność z r. 1863. W tej chwili chmury śnieżne rozdarły się i słońce rzuciło snop promieni na ubogą trumnę Ojca ubogich.

W południe na cmentarzu rakowickim złożono zwłoki Brata Alberta. Przed ich włożeniem do grobu wzniosie i serdecznie przemówił Ks. Biskup Nowak. Dodać należy, że dziwnym zbiegiem okoliczności, ciało Brata Alberta spoczęło w cudzym, świeżo zbudowanym grobie, gdzie nikt jeszcze nie leżał. Na kamiennym nagrobku widnieje taki napis:

**BRAT ALBERT, WIERNY SŁUGA BOŻY,
Założyciel Braci i Sióstr III-go Zakonu
Ojciec ubogich i nędzarzy,
św. Franciszka, postępującym ubogim.
Walczył za Ojczyznę 1863 r.
Niech spoczywa w pokoju!**

Ks. Czesław Lewandowski C. M. „Brat Albert”, Kraków 1927.